

Zagadkowa natura

27 sierpnia 2017

Przedział klasy pierwszej.

Na kanapie, krytej aksamitem barwy amarantowej, na wpół leży przystojna kobietka. Drogi wachlarz z frędzlą trzeszczy w jej nerwowo ściśniętej pięści, binokle co chwila spadają z jej łagodnego noska, broszka na piersiach to się podnosi, to opada, jak czółno wśród fal... Jest podniecona... Naprzeciw niej, na kanapie, siedzi urzędnik do szczególnych poruczeń przy gubernatorze, młody, początkujący literat, autor, drukujący w „Wiadomościach Gubernialnych” niewielkie opowiadania albo, jak je sam nazywa, „nowele” z życia eleganckiego świata.

Patrzy na jej twarz przenikliwie, z miną znawcy, przygląda się podróźnej. On obserwuje, studiuje, przenika jej ekscentryczną, zagadkową naturę, rozumie, chwyta...

– O ja panią rozumiem! – mówi, całując ją w rękę koło bransoletki. – Dusza pani, subtelna i wrażliwa, szuka wyjścia z labiryntu... Tak, to jest straszna, chimeryczna walka, ale niech pani nie upada na duchu! Pani zwycięży! Bezwarunkowo!

– Opisz mnie pan, panie Waldemarze – mówi dama ze smutnym uśmiechem. – Życie moje jest tak pełne, tak wielobarwne, takie rozmaite... A co najważniejsze – jestem nieszczęśliwa! Jestem męczennicą w stylu Dostojewskiego... Niech pan pokaże światu moją duszę. Pan jest głęboki. Nie ma jeszcze godziny, jak tu siedzimy i rozmawiamy, a pan już mnie zrozumiał zupełnie, całkowicie!

– Niech pani mówi, błagam, niech pani mówi!

– Więc proszę słuchać. Urodziłam się w biednej urzędniczej rodzinie. Ojciec, dobry człowiek, inteligentny, ale... duch czasu i środowiska... vous comprenez[1], nie oskarżam mego biednego ojca. Pił, grał w karty... brał łapówki... Matka zaś... co

tu mówić! Bieda, walka o kawałek chleba, świadomość własnej nędzy... Ach, niech mnie pan nie zmusza do przypominania! Musiałam sama sobie torować drogę... Potworne wychowanie w instytucie, czytanie głupich romansów, błędy młodości, pierwsza nieśmiała miłość... A walka z otoczeniem? Okropne! A wątpliwości? A męki rodzącej się niewiary w życie, w siebie?... Ach! pan jest literatem i zna nas, kobiety. Pan zrozumie... Na nieszczęście, jestem naturą szeroką... Oczekiwałam innego szczęścia! Pragnęłam być człowiekiem! Tak! Być człowiekiem – w tym upatrywałam szczęście!

– Cudowna – bełkocze literat, całując rękę koło bransoletki. – Nie panią całuję, urocza istotą, lecz cierpienie ludzkie! Pamięta pani Raskolnikowa? – On tak całował.

– O, Waldemarze, byłam spragniona sławy, rozgłosu, blasku, jak każda – po co udawać skromność – jak każda nietuzinkowa natura. Pożądałam czegoś niezwykłego, niekobiecego! I oto... i oto... nawinął się na mej drodze bogaty staruszek, generał... Zrozum mnie pan, panie Waldemarze! Przecież to była ofiara, było to wyrzeczenie się siebie – niech pan zrozumie! Nie mogłam inaczej postąpić. Wzbogaciłam rodzinę, zaczęłam podróżować, pomagać ubogim... A jak cierpiałam, jak nie do zniesienia wstrętne były dla mnie objęcia tego generała, chociaż, trzeba mu to przyznać, w swoim czasie walczył mężnie. Bywały chwile... okropne chwile! Ale podtrzymywała mnie myśl, że staruszek dziś-jutro umrze, że zacznę żyć, jak chciałam, oddam się ukochanemu człowiekowi, będę szczęśliwa... A mam takiego człowieka, Waldemarze! Bóg świadkiem, jest taki!

Dama porusza gwałtownie wachlarzem. Twarz przybiera płaczliwy wyraz.

– Ale oto staruszek umarł... Zostawił mi coś-niecoś i jestem wolna jak ptak. Teraz mogłabym żyć szczęśliwie... Czy nie tak, Waldemarze? Szczęście stuka do mego okna, trzeba je tylko wpuścić... ale nie! Słuchaj mnie pan, panie Waldemarze, zaklinam pana! Teraz właśnie oddać się kochanemu człowiekowi, stać się

jego towarzyszką, pomocnicą, wyznawczynią jego ideałów, być szczęśliwą... odpocząć... Ale jak wszystko jest wstrętne, niskie, głupie na tym świecie! Jak wszystko jest podłe, Waldemarze! Jestem nieszczęśliwa, nieszczęśliwa, nieszczęśliwa! Na drodze mojej znowu stoi przeszkoda! Znowu czuję, że szczęście moje daleko, daleko! Ach, gdyby pan wiedział, ile męczarni, ile męczarni!

– Ale cóż takiego? Co stanęło na drodze pani? Błagam panią, niech pani powie! Co?

– Drugi bogaty staruszek...

Połamany wachlarz zasłania ładniutką twarzyczkę. Literat podpira ręką głowę, pełną głębokich myśli. Wzdycha i z miną znawcy-psychologa zamyśla się.

Parowóz świszcz, skrzypi, a firanki w oknie czerwienią się od zachodzącego słońca.

Autorstwo: Anton Czechow

Tłumaczenie: A.W.

Źródło: WolneLektury.pl

PRZYPIS

[1] vous comprenez (fr.) – rozumie pan. [przypis edytorski]